NOMINACJA
9. EDYCJA KONKURSU
TRAVELERY
KATEGORIA
PODRÓŻ ŻYCIA

Lekcja uważności

Nie pojechałem do Amazonii w poszukiwaniu przygody. Chciałem poznać życie Indian Macziguengów w Peru. Przygoda znalazła mnie sama.

TEKST I ZDJĘCIA **EMIL WITT**

Szukam malowideł naskalnych u podnóży kordyliery Vilcabamba. Indianie gdzieś zniknęli i próbuję znaleźć się jakoś z GPS-em. Deszcz, widoczność do 10 m, wokół kolczaste bambusy i liany.

Zapada zmrok. Rażąca zielenią tropikalna gęstwina zaczyna szarzeć. Powoli wyłania się księżyc, a ze wschodnich podnóży kordyliery Vilcabamba dobiegają pierwsze głosy nocnych ptaków. Rzeka Mapicha rozbija się z hukiem o skały, ale i tak nie jest w stanie zagłuszyć owadów jazgoczących w pobliskich krzakach. Niedostępny gąszcz sprawia, że jedyną drogą prowadzącą tu z wioski Mayapo jest ta rwąca rzeka. Wraz z dwójką Indian z plemienia Macziguengów pokonujemy ją pod prąd. Cały dzień ciągnęliśmy dziurawe kanu po kamienistym dnie, po pas w wodzie, próbując przezwyciężyć lodowaty nurt. Łódź jakoś dowlekliśmy, ale podczas jednej próby przekroczenia rzeki w poprzek zostałem przez nią porwany i walnąłem plecami o szpiczastą skałę. Dobrze, że nie głową. Lekcję zapamiętałem: nigdy nie przekraczaj rwącej rzeki, jeśli woda sięga wyżej bioder.

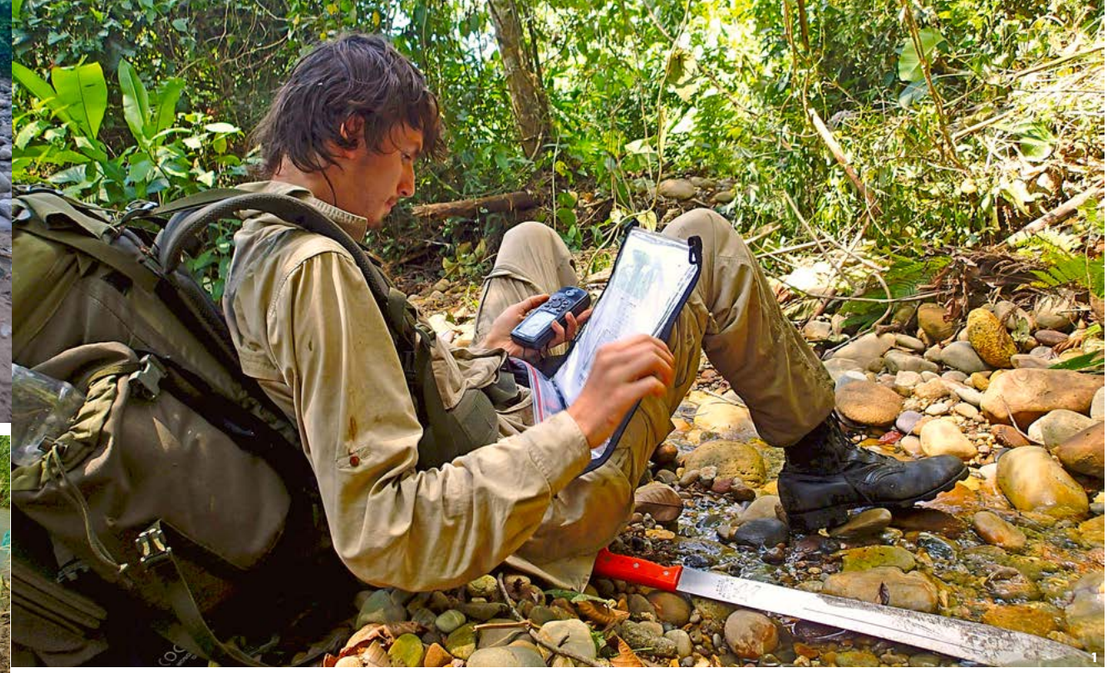

1. Nad brzegiem Capanashiri. Rzeki na wojskowych mapach poprzemieszczały się o kilkadziesiąt metrów...

2. Poranek po burzy z piorunami. Pierwszy raz w życiu spałem w kałuży, bo Indianie zgarnęli mi plandekę.

3. Zderzenie światów: tradycyjna indiańska tratwa powiązana łykiem i łódź z desek napędzana silnikiem.

4. Oto droga, która według Indian była przejezdna dla samochodów.

Gdzieś daleko na południu spadły pierwsze zimowe deszcze i dlatego spokojna zwykle, niepozorna rzeczka tak mocno się poszerzyła. Jej błotnisty nurt targa ciężkie kłody drewna. Indianie dzień wcześniej obejrzeli go uważnie z wysokiej skarpy, żeby obrać najlepszą taktykę przemieszczania się i połowów na rzece.

Zaraz po przycumowaniu łodzi Indianie znikają w puszczy w poszukiwaniu zwierzyny. Po pół godzinie biegania za nimi po kamienistym brzegu widzę snopy światła penetrujące zarośla. Indianie świecą latarką po gęstwinie, wypatrując odblasku oczu zwierząt. Po kolorze dwóch świecących kropek umieją określić, jaki gatunek ukrywa się w smolistym mroku lasu deszczowego. Oczy jaguara świecą niebiesko, kajmana pomarańczowo, a dzikiej świni – biało. Macziguengowie potrafią też przywabiać zwierzęta dźwiękami, co zawsze stosują przy poszukiwaniu nocnych ptaków. Kiedy podążamy korytem strumienia, namierzają jakąś sówkę. Carlos nie strzela do niej ani z łuku z drewna *pijuayo* (czyt. pihuajo), ani ze strzelby, tylko zręcznie doskakuje do niej i chwyta w ręce. Ryby złowione w sieć *tarrafa* napełniły nasze żołądki, więc sowę tylko pooglądamy.

WIĘCEJ NA TABLECIE!

Moi przyjaciele Macziguengowie

Pieniędzy ode mnie nie chcieli. Carlosowi wręczyłem kwotę za jego dniówki, które stracił, bo zrezygnował z pracy przy rządowych instalacjach (budowa stawów rybnych i wykonanie melioracji). Drugiemu z własnej woli zapłaciłem za paliwo i dałem 40 soli (ok. 40 zł). Gdyby nie cały miesiąc, który z nimi spędziłem, takie relacje między nami nie byłyby możliwe.

Żyłem tak jak oni. Łowiłem ryby, obserwowałem puszczę i samotnie się w nią zapuszczałem. Poplamione ubrania dodatkowo upodabniały mnie do mieszkańców selwy. Poza tym Indianom zaświeciły się oczy, kiedy im powiedziałem, że za oceanem też są osoby, które uprawiają rośliny i przy tym gryzą je meszki i komary. Znaleźliśmy wspólny temat. Moje opowieści o „martwych" lasach z nagimi gałęziami pokrytymi śniegiem i o zamarzniętych jeziorach robiły na Indianach ogromne wrażenie. Wywoływały też wielkie współczucie dla nas – ludzi Północy. Bo jak to: zimą nie rosną u nas owoce ani warzywa i musimy robić zapasy? Takie rozmowy rozwiewały mit białego Indiany Jonesa, który przybył z krainy bogactw, hedonizmu i wiecznego szczęścia. Jednak moje pierwsze spotkanie z Macziguengami wypadło kiepsko.

Droga pod górkę

Pierwszy kontakt z Amazonią miałem w 2013 r., kiedy jako osiemnastolatek wybrałem się sam na dwa miesiące do brazylijskich lasów deszczowych. Wylądowałem w dorzeczu Padauiri, pod wenezuelską granicą, gdzie spotkałem Indian Janomamów. Przeszedłem chrzest bojowy, od malarii po dwukrotne zgubienie się w puszczy, jednak ta samodzielna eskapada była dla mnie bardzo ważna. Otworzyła mi oczy na samego siebie i rozkochała w poznawaniu ostatnich nietkniętych zakątków planety.

Do drugiej wyprawy podchodziłem znacznie chłodniej i racjonalniej: chciałem poznać życie Indian Macziguengów w środkowym Peru oraz wyeksplorować górskie lasy deszczowe. Od początku obawiałem się trudności w dogadywaniu się z miejscowymi. Nie chodzi mi tylko o język, ale o różnice w pojmowaniu czasu i przestrzeni. Bałem się po prostu legendarnej mañany.

W pierwszych trzech tygodniach wyprawy towarzyszyła mi dwójka przyjaciół z Polski; reportażysta Krzysztof Petek i psycholog Agnieszka Skorupa. Przez kilka dni przeprawialiśmy się autobusami i łodziami z Limy do Camisea – pierwszej większej wioski Macziguengów nad rzeką Urubamba. Załatwiliśmy formalności w CECONAMA, organizacji powołanej do ochrony Indian. W końcu pozostała nam przeprawa przez selwę do wioski Camana. Miejscowi informatorzy (przezornie zapytałem pięciu o to samo!) twierdzili, że droga jest przejezdna i ma nam zająć 6 godz. Ucieszony złapałem za wioskowy telefon. Po pół godzinie dodzwoniłem się do Camany i poprosiłem, żeby wyszedł nam naprzeciw jakiś przewodnik, tak abyśmy się spotkali z nim w połowie drogi i dotarli wspólnie do wsi. Wszystko to z myślą o Macziguengach, by wiedzieli, że jacyś biali (czyli my) kręcą się przy ich wiosce.

Wyruszyliśmy. Droga okazała się niezwykle wąską górską ścieżką poprzerastaną twardymi jak stal kolczastymi bambusami. **Nawigacja? Pod koniec pierwszego dnia natknęliśmy się na pierwszy i ostatni drogowskaz – trzy papuzie pióra wbite w piasek przez myśliwych.** Dalej podążaliśmy, trzymając się nielicznych śladów stóp odciśniętych na brzegach strumienia. Do Camany dotarliśmy po trzech dniach. Tam nam powiedziano, że nasi przewodnicy wyszli dzień później, niż była umowa, i dlatego się nie spotkaliśmy. To nie wszystko: mieliśmy zostawić 15 tys. dol. albo się wynosić.

Skąd takie powitanie? Błąd leżał po mojej stronie. Nie powiedziałem, kim jesteśmy, gdy dzwoniłem. W Camanie wzięli nas za naukowców, których Indianie nie znoszą – bo kiedyś pewni biali w zamian za pozwolenie na dokumentację rytuałów i spisanie wiedzy o roślinach leczniczych obiecali im polepszenie warunków życia. Nigdy więcej się nie pojawili.

Silnik burczy nad Ukajali

Po kilku tygodniach spędzonych pod kordylierą Vilcabamba żegnam się z Carlosem i zabieram się na południe z handlarzem o przezwisku Plamka, rozwożącym chińszczyznę po indiańskich wioskach. Jako zapłatę

Emil Witt
Podróżnik, sportowiec, surwiwalowiec. Uwielbia spać pod gołym niebem, słuchać śpiewu ptaków i mieć świadomość, że od najbliższego miasta dzieli go 300 km.

1. Z Krzysztofem Petkiem i Agnieszką Skorupą – ekipa z pierwszego miesiąca wyprawy.

2. Tkactwo i plecionkarstwo od zawsze wypełniało czas Indianek z plemienia Macziguengów.

3. Do monotonii pożywienia w selwie da się przywyknąć. Bulwa manioku + żar = obiad.

wręczam mu kilka pocisków, które kupiłem u indiańskiego pastora. W niektórych sklepach spożywczych nad rzeką Ukajali naboje stoją obok dżemów i zapalniczek. Kosztują po 2 zł za sztukę, ale w selwie ich cena wzrasta dwukrotnie.

Później statkiem towarowym spływam z nurtem Ukajali od miasteczka Sepahua, przez Atalayę, Pucallpę, aż do strefy Cerros de Contamana. **To niebywale powolna podróż, której znój potęguje mikroskopijna przestrzeń dla pasażerów.** Wszystko jest w 99 proc. zapchane kontenerami, paletami, beczkami, kurami i bananami. Na pozostałym jednym procencie musi się zmieścić dwustu Peruwiańczyków i ja. Uciekam na dach statku, żeby tylko dotrwać do końca rejsu.

Z turystycznego miasteczka Contamana tuż przy granicy z Brazylią ruszam z człowiekiem imieniem Ambrosio. Jest emerytowanym projektantem, który tak jak ja nosi się z zamiarem pieszej wędrówki po bezludnych zakątkach puszczy. Z każdym kilometrem wspólnej drogi na wschód od rzeki Ukajali selwa staje się coraz gęstsza i bardziej majestatyczna. Każdego dnia maszerujemy przez 10 godz., często brodząc w górskich strumieniach po kolana. Idziemy także nocą – muszę wtedy walczyć z usypiającą mnie smolistoczarną monotonią dookoła. Dopiero czwartego dnia znikają ślady eksploatacji lasu deszczowego. Tak daleko musimy wejść zapomnianymi ścieżkami w głąb lasu, żeby zniknęły powalone przez człowieka kłody i pojawiły się grube drzewa, wysokie niemal do nieba. Nad Ukajali problemem nie są całkowite wyręby lasów deszczowych. Tam po prostu trudno o stare, dojrzałe drzewa. To, co rośnie po obu brzegach rzeki, to wyłącznie niskie krzewy i młode drzewka.

Sztuka życia

Najsmutniejszym obrazem zderzenia epok w amazońskiej selwie jest dla mnie mała wioska Nuevo Mundo, położona przy ogromnej bazie argentyńskiego gazociągu Repsol. Pracownicy gazociągu w jaskrawych kaskach i kamizelkach mijają się ze starszymi członkami swoich rodzin, ubranymi w tradycyjne, ręcznie tkane z bawełny stroje zwane *cushma*. Wiele dawnych tradycji zostało wypartych przez „religię białych", a znajomość roślin leczniczych to już wiedza najstarszych. Macziguengowie łatwo przyzwyczajają się do tabletek, które sprzedają nieliczni handlarze kursujący po rzekach. Większość Indian mówi jeszcze w swoim języku, jednak coraz bardziej dominuje tam hiszpański. Raz w jednej z wiosek nogi aż się pode mną ugięły. Przez wycie koparek do moich uszu doleciał śpiew starej Indianki, który w swojej skromności brzmiał jak ostatnie westchnienie dawnej epoki.

Indianie, z którymi się zaprzyjaźniłem podczas wyprawy, byli prawdziwymi wirtuozami życia. Wszystkie codzienne czynności – od polowań, przez łowienie ryb, po nierobienie niczego – wykonywali z niezwykłą zręcznością, gracją i skupieniem. Było tylko tu i teraz, nie istniało ani wczoraj, ani jutro. Podczas każdej wspólnej wyprawy w głąb selwy ich dziecinna fascynacja otaczającą przyrodą nie malała, choć przecież żyją w tym środowisku od zawsze. Ja urodziłem się w świecie cywilizowanym, gdzie zwyczajem jest zamartwianie się tysiącem różnych spraw. Lekcje uważności, jakie pobrałem u Indian, wielogodzinne wpatrywanie się w monotonię puszczy otworzyły mnie na dostrzeganie piękna chwili. Chwili, której nie pozwala dostrzec tworzone w głowie ani wczoraj, ani jutro. ■

WARTO WIEDZIEĆ

PERU ■ **DOJAZD** W promocji bilet do Limy może kosztować ok. 1100 zł, ale raczej jest to wydatek ok. 4 tys. zł za bilet w obie strony. ■ **TRANSPORT** Żeby dostać się do lasu, trzeba wsiąść do autobusu: do Cuzco (100 zł + później busy: 40 zł) albo do Pucallpy (50 zł). Dalszy transport odbywa się łodziami: szybkimi (trzykrotnie droższymi!) i powolnymi statkami handlowo-pasażerskimi. ■ **JEDZENIE** W selwie tradycyjną potrawą jest *patarasca*: świeża ryba upieczona w żarze w liściach dzikich roślin. ■ **PRZEWODNIK** Jeśli mówisz po hiszpańsku, możesz sam zagadać z miejscowymi. W selwie dniówki (za wszelkie prace) to ok. 50 zł. Dobra znajomość hiszpańskiego może znacznie zredukować wydatki na miejscu. Można też kupić wycieczkę w lokalnym biurze – drożej, ale łatwiej.